Nr. 45. We Lwowie dnia 11. listopada 1895. Rok III.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Życie psychiczne społeczeństwa,

przez

Bolesława Limanowskiego. *)

Życie psychiczne organizmów społecznych snuje się z życia psychicznego jednostek, które wchodzą w skład onych i dla tego musi przejawiać się pewna wspólność rozwojowa w jednem i w drugiem. Życie psychiczne społeczeństwa przedstawia na większą skalę i w więcej złożonych formach to samo, co się odbywa w życiu duchowem człowieka. Psychologja jest nader ważną pomocniczą nauką dla socjologa.

W »Historji rozwoju umysłowego Europy« Draper wykazał wielką analogję, jaką się spostrzega w rozwoju umysłowym człowieka i narodu. I jeden i drugi mają swój wiek dziecinny, wiek wiary, czyli raczej łatwowierności; wiek młody, sen na kwiatach — jak się wyraża nasz poeta; wreszcie, wiek dojrzały, w którym rozum krytycznie wszystko ocenia i świadomie kieruje swemi czynnościami. Historycy, zanadto się zajmując pojedyńczemi osobami, bardzo mało uwzględniają psychologję społeczną. **) Tymczasem jest to wdzięczne pole, obiecujące obfity plon zarówno dla socjologa, jak i dla polityka. Postaram się tu zwrócić uwagę na niektóre ważniejsze podobieństwa, które przy czytaniu dzieł psychologicznych, same nasuwają się umysłowi.

Psychologowie spostrzegają w rozwoju życia psychicznego, okresy tak zwane przejściowe, krytyczne, równoczesne z dojrzewaniem płciowem i umysłowem. Są to okresy, w których obok dawniej istniejącej świadomości wyłania się nowa, różniąca się w wielu punktach od poprzedniej, i stacza z nią pewnego rodzaju walkę, zanim ostatecznie utrwali swoje panowanie. Henryk Saint-Simon wskazał już dawno na takie krytyczne okresy w dziejach rozwoju ludzkości, Bazard dokładniej je określił, a August Comte wyjaśnił znaczenie onych. Takie krytyczne okresy odnajdziemy także w historji każdego pojedyńczego narodu. Wówczas upowszechniają się nowe wierzenia, powstają nowe przekonania, pojawiają się odmienne od dawnych poglądy na stosunek człowieka do całego świata i do innych ludzi, na moralność, na układ społeczny i ustrój polityczny. To, co dawniej wydawało się być sprawiedliwem, przestaje wydawać się takowem. Objawia się silna potrzeba nowych zmian, przeobrażenia społecznego, w którem nowe żywioły, te warstwy narodowe, które zaczęły przychodzic do samowiedzy swego znaczenia i swej siły, dążą do obalenia dawnego, jako uciążliwego dla nich, porządku i uzyskania korzystniejszych dla swego istnienia i rozwoju warunków. W tym okresie krytycznym przeciwieństwa walczących z sobą warstw narodowych tak się zaostrzają, że w świadomości narodowej spostrzegamy rozdwojenie, jakby — mówiąc językiem obrazowym — zamiast jednej duszy istniały w narodzie dwie. Historja wówczas naprawdę streszcza się w walce klasowej: plebeuszów z patrycjuszami, demokracji z arystokracją, gminu z feudalizmem, proletarjatu z kapitalizmem. Walka ta wewnętrzna, wyczerpując wiele energji, osłabia naród i zmniejsza jego odporność na zewnątrz, lubo to nie trwa długo, albowiem wychodzące z bierności

---

*) Jest to wyjątek z obszernej pracy, przygotowanej do druku i czekającej na nakładcę, p. t. »Wstęp do Socjologji«.

**) To samo spostrzeżenie czyni Paweł Lacombe w niedawno (1895 r.) wydanej książce p. t. »De l'histoire considérée comme science«.

nowe żywioły powiększają ilość czynnych sił onego, i w całym organizmie wytwarza się wyższy stopień jedności społecznej.

Spostrzeżenia psychologiczne przekonywują, że powolny i stopniowy rozwój moralny i umysłowy człowieka jest korzystniejszy dla jego przyszłości od szybkiego i odbywającego się z pewną gwałtownością. Dzieje narodów skłaniają do podobnegoż wniosku. W rewolucji gwałtownej i radykalnej rozwój polityczno-społeczny odbywa się szybko i sprowadza prędkie przeobrażenie, ale prawie zawsze następuje również gwałtowna reakcja i paczy pod wielu względami dokonane dzieło.

Im naród jest swobodniejszy w swych ruchach, t. j. im większą posiada wolność polityczną, im jest on więcej rozwinięty umysłowo, t. j. im wyższą i powszechniejszą jest jego oświata, tem wszelkie odbywające się w nim przeobrażenia, wszelkie przewroty stają się mniej gwałtowne i ani pożoga, ani przelew krwi im wcale nie towarzyszą. Nowoczesna historja Szwajcarji świadczy o tem wymownie. Odbyło się tam sporo rewolucji — niemal w każdym kantonie było ich kilka — i widzimy tam, jak krwawe dawniej rewolucje, ze wzrostem politycznych swobód narodu i z podniesieniem się poziomu jego oświaty, zamieniały się we wrzawę zbiegowisk, a i tę wrzawę uczyniło zbyteczną częste i powszechne głosowanie całej ludności we wszystkich ważniejszych sprawach. Tam, gdzie naród dźwiga jarzmo najedźców; tam, gdzie panuje despotyzm — spokojna wewnętrzna rewolucja jest niemożliwą, t. j. taka rewolucja, któraby powiększała siły narodu i stawiła go na wyższym stopniu rozwoju. Organiczna łączność odporu lub powstania narodowego z rewolucją wewnętrzną może być zbawieniem dla narodu, chcącego obronić albo odzyskać swoją niepodległość. Świadczy o tem powstanie Szwedów przeciwko Duńczykom, Holendrów przeciwko Hiszpanom, ale najwspanialszy przykład przedstawia Francja, odpierająca zwycięsko połączone siły monarchów europejskich. Jeżeli pomiędzy powstaniem narodowem i rewolucją wewnętrzną nie nastąpi ścisła łączność, to wzajemnie osłabiać się one będą, a wróg, złamawszy powstanie narodowe, albo powstrzyma i cofnie po części rewolucję wewnętrzną — jak to było w dziejach narodu naszego po rewolucji 1794 r., albo postara się ją wyzyskać na swoją korzyść — jak to było w Galicji w 1848 r., a w zaborze rosyjskim w 1864 r.

Konserwatyzm tem jest większy, im mniej umysłowość jest rozwinięta. Widzimy to zarówno w życiu pojedyńczych ludzi, jak i całych społeczeństw. Najwięcej zachowawczemi są dzikie plemiona. U narodów zaś, stojących na wyższym stopniu oświaty, nie tylko wzrasta liczba zwolenników postępu, ale nadto w samem stronnictwie zachowawczem objawia się większa skłonność do ustępstw dążnościom postępowym. W tym względzie szczególnie zaleca się Anglja. Tam rząd, parlament i ciała autonomiczne okazują lepsze zrozumienie potrzeb chwili bieżącej, aniżeli we Francji, chociaż znaczenie i siła stronnictwa zachowawczego nie jest tam wcale mniejsza. *).

Łączność umysłowości, uczuć i woli w społeczeństwie jest jeszcze większa, aniżeli w osobniku. Rozwój umysłowy odbywa się wraz z rozwojem uczuć, roznieca je, rozjaśnia, rozszerza, podnosi skalę onych, a uczucie i wola wpływają na kojarzenie się wyobrażeń i wyrabianie się pojęć i sądów. To, co chcemy poznać, porusza w silnym stopniu nasz umysł i pobudza w pewnym kierunku do myślenia. Te z nasuwających się wyjaśnień, które odpowiadają naszemu upodobaniu, biorą przewagę nad temi, które nam sprawiają przykrość. Wola, która jest wypadkową odruchów wzruszeniowych i wyobrażeniowych i rzeczywiście w zupełnej zależności od uczuć i myśli pozostaje, tem jest pewniejsza siebie, im większa zgodność pomiędzy temi uczuciami i myślami zachodzi. Jeżeli zaś pojawia się pomiędzy niemi sprzeczność, to sprowadza ona niepokój, niezadowolenie, chwiejność woli, to wszystko pobudza do szukania zgodniejszego stosunku pomiędzy uczuciami i myślami.

Bernheim, znany ze swoich badań nad hypnotyzmem, powiada, że gdy kto oznajmia nam jaką wiadomość, to pierwszym naszym odruchem jest w i a r a: dziecko wierzy w to, co mu się mówi. Im zasób myśli jest mniejszy, im uczucia są prostsze, mniej skomplikowane, tem łatwiej ustala się zgodność pomiędzy uczuciami i myślami, której pierwszą formą jest wiara. Znaną jest łatwowierność ludów dzikich i gminu w społeczeństwach na niskim poziomie oświaty pozostających. Wmawianie (poddawanie, sugestja) tem potężniej działa, im umysły są mniej wprawione do roztrząsania, badania, wybierania tego, co się uważa za najodpowiedniejsze, słowem do k r y t y k i. I dla tego zdanie Tarde'a, że wszystkie pojęcia człowieka społecznego są wmówione, jakkolwiek ten mniema, że on sam je w sobie wyrobił **) należałoby zaopatrzyć tą uwagą, że im niższy stopień uspołecznienia, tem jest ono prawdziwsze.

(Dok. nast.).

---

*) W Anglji ministrowie wojny i marynarki, a od 1-go marca 1895 r. dyrektor poczt i telegrafów zaprowadzili we wszystkich warstatach i biurach ośmiogodzinną pracę, bez zmniejszenia płacy. Rady miejskie rozszerzają swój zakres na wszystkie usługi publiczne, ustanawiając przytem stałą płacę, oznaczoną przez taryfę syndykatów robotniczych.

**) N'avoir que des idées suggerées et les croire spontanées: telle est l'illusion propre au somnabule et à l'homme social.

Ze sztuki.

»Modlitwa« Szymanowskiego, wraz z »Upałem«, »Sielanką« i »Tkaczem«, wystawiona od dwóch tygodni w sali »Klubu pocztowego« we Lwowie, nie należy do obrazów, któreby mogły odrazu wywołać entuzjazm w publiczności naszej. Wprawdzie od dwóch lat dochodzą nas nieustannie odgłosy tryumfalnego pochodu tego obrazu za granicą, a zwłaszcza po Niemczech, jednak z jednej strony dowodzić to może tylko, że publiczność niemiecka więcej ma poczucia dla sztuki, niż nasza, a powtóre mogliśmy tu podlegać pewnemu złudzeniu, nietyle optycznemu, jak umysłowemu, identyfikując zachwyty krytyki i znawców niemieckich i francuskich z przyjęciem obrazu przez publiczność.

Czem się w takim razie dzieje, że tak znakomity obraz, tak znakomitego malarza nienależy — przynajmniej u nas — do dzieł popularnych? Oto przedewszystkiem mimo całego w nim nowatorstwa malarskiego jest on, pomijając inne kwestje, z a d o b r y m. Paradoks ten — w gruncie rzeczy jest łatwym do zrozumienia. Z a d o b r y m nie może być utwór znanego artysty, utartych się trzymającego torów. Bo wtedy nie wchodzą w grę zagadnienia, że się tak wyrażę, »filozoficzne«, n. p. o »zadaniu sztuki«, lub: czy kierunek dany jest usprawiedliwionym, ale artysta poprzedniemi dziełami wyżłobił już sobie pewne łożysko we wrażliwości widzów, przyzwyczaił ich do pewnych środków artystycznych, nauczył je rozumieć, wystarcza mu więc uderzać coraz silniej w znaną strunę, aby zyskać potęgujące się powodzenie.

Inaczej z tymi, którzy coś nowego wnoszą do sztuki. Wobec takiego obrazu widz przeciętny jest w położeniu kogoś, co się znajduje w ciemnym pokoju, nie będąc obeznanym z rozkładem sprzętów w nim. Boi się kroku zrobić; on nie widział, aby tak malowano, co więcej on nie spodziewał się, aby tak malować można było. Cały jego dość wątły gmach wyobrażeń estetycznych wali się, a w tym chaosie umysłowym biedak nie jest w stanie pomyśleć: czy obraz ten przypomina mu naturę i czy malarz dobrze oddał nastrój, o który mu chodziło. Malarzowi-nowatorowi, jeśli chce uniknąć chwil przejściowych, które stanowi obojętność publiczności, zwłaszcza mniej wyrobionej i obeznanej z nowym kierunkiem, pozostaje jedna droga. Jest nią p r z e s a d a. Niechaj pilnuje się, aby jego obraz nie był z a d o b r y m. Bo skoro mając za cel wprowadzenie nowych, n. p. prądów kolorystycznych, przewróci do góry nogami, nietylko utarte pojęcia, ale prawa optyki i logiki, wtedy przynajmniej może być pewnym, że pójdą za nim wszyscy, którzy sztukę co najwyżej w znaczeniu cyrkowem pojmują — a tych jest wszędzie na świecie legjon — a nadto wszyscy ci chwalcy i wrzekomi krytycy, którzy sobie wyobrażają, że znawstwo polega na podnoszeniu pod niebiosa wszelkich ekscentryczności.

Szymanowski, w wystawionych obecnie obrazach, a specjalnie w »Modlitwie«, niewątpliwie dał folgę nowym prądom malarskim, zanadto jednak jest artysta szczerym i głębokim, aby miał zadowolić się przesadą lub szarlatanerją. I oto przyczyna dlaczego przed jego obrazami nie stoją zagapione tłumy z otwartemi ustami, jak to nieraz już we Lwowie bywało. Ale też za to ci, stosunkowo nieliczni, z naszej publiczności, co mają poczucie prawdziwej sztuki, uznali w nim artystę, którym przed obcymi szczerze chlubić się możemy. Obraz ten, to »tryptyk«, to znaczy, że składa się z trzech części: środkowej głównej, największej i złączonych z nią wspólnemi ramami w jedną całość, dwóch pobocznych, mniejszych, z których prawe skrzydło przedstawia ołtarz bez księdza z kadzielnicą na stopniach, a lewe: rozhukany wielki dzwon kościelny. Na główną część środkową wysilił Szymanowski całe swe mistrzowstwo malarskie. Przedstawia ona tłum ludu, klęczący i śpiewający po mszy »suplikacje«. Obraz na pierwszy rzut oka robi wrażenie szare, mroczne, jak szarem i mrocznem bywa wnętrze naszych kościołów. Mało kto niewtajemniczony w technikę malarską pojmie, jak trudno na płótnie oddać taki półmrok — z taką prawdą, jak to uczynił Szymanowski. Ale nadto stworzył on sobie inną jeszcze trudność, z której wywiązał się wybornie. Mianowicie na część klęczącego tłumu, z okna gdzieś nad ołtarzem rzucił pęk promieni słonecznych, które przez kontrast z mrokiem otoczenia, wywołują efekta tem trudniejsze do oddania. To też twarze i białe szaty, klęczących w pierwszym rzędzie dziewcząt palą się jaskrawemi barwami i refleksami, a oświetlona grupa, gdzieś na ostatnim planie, zaznacza się słabymi odblaskami niemal wszystkich kolorów tęczy. Przy obserwacji tych, nawiasem powiedzmy, pysznie malowanych efektów, łatwo nasuwa się na usta słówko »impresjonizm«. Nie chcemy tu rozwodzić się nad naturą impresjonizmu i o ile ta nazwa w tym wypadku może być usprawiedliwioną, a »Modlitwa« Szymanowskiego posłuży nam jedynie za przykład, że niemal każdy kierunek w sztuce znajdzie swe usprawiedliwienie pod warunkiem, jeśli go w czyn wprowadza... talent prawdziwy.

Pozostaje jeszcze strona d u c h o w a utworu. I tu zaznaczamy odrazu, że »Modlitwa« Szymanowskiego jest s y m b o l e m. Słowo to często w ostatnich czasach powtarzane, rzadko bywa właściwie zrozumiane. Należy je przedewszystkiem ściśle od »alegorji« odróżniać. Pod alegorją bowiem rozumiemy uplastycznienie jakiejś idei, jakiejś oderwanej myśli, pojęcia. Tak n. p. aż nazbyt oklepaną alegorją jest przedstawienie »sprawiedliwości« pod postacią kobiety z mieczem i wagami. Obraz, stanowiący alegorję przedsta-

wia właściwie to, czego na nim nie ma, symbol natomiast tylko to, co na nim jest. Poza alegorją jest zawsze jakaś myśl ukryta, poza symbolem — uczucie. Symbolu zadaniem jest potrącać w duszy naszej ukryte struny, wywoływać nastrój poetyczny.

Po tem wyjaśnieniu możemy zapewne już śmiało powiedzieć, że »Modlitwa« Szymanowskiego jest symbolem zachwytu religijnego w modlitwie. Ten zachwyt zdaje się z promieniami słońca spływać od ołtarza na tłumy i sięga aż na lewe skrzydło, skąd dźwiękiem dzwonu na wsie, pola i łąki się rozlewa. Zrozumieli symbol artysty. Niemcy. Jedno tylko mieli mu do zarzucenia, t. j. charakter zbyt ekstatyczny przedstawionej modlitwy. »Trudno, aby z takim zachwytem lud się mógł modlić«, powiadali niemieccy krytycy. Trudno się też im dziwić, wszak nie mogli widzieć, jak się »Święty Boże« po naszych wiejskich kościołach śpiewa... Wobec »Modlitwy« nie łatwo rozpisywać się szeroko o reszcie obrazów Szymanowskiego. »Tkacz« jest zwykłem sobie studjum, »Sielanka« przedstawia parę całującą się na tle pełnego prostoty krajobrazu, największym i najlepszym z pozostałych utworów jest »Upał«. Postać żniwiarza na tle łanu dojrzałego zboża, tonącego w złotym upale słonecznym, przepyszną jest i kolorystycznie i rysunkowo. Lewa jedynie noga, naprzód wysunięta wydaje się za dużą. Uwagę jednak zwraca przedewszystkiem niebo. Błękit jego bowiem składa się z grubych kleksów farby. Artysta chciał niewątpliwie oddać w ten sposób falowanie powietrza w dzień upalny i owo wrażenie drżenia, które wywołuje nacisk nabrzmiałych pod wpływem gorąca naczyń krwionośnych na siatkówkę oka. Jednak te kleksy i plamki zlewają się w całość dopiero w odległości, w której zacierać się już zaczyna główna postać. I w tem, jeśliby ktoś chciał koniecznie, mógłby upatrywać wadę obrazu. Ale któż bez wad na świecie, muszą je więc mieć i obrazy malarzy tej nawet miary, co Szymanowski!

Jan Zgoda.

Nieboszczka Barbara,

przez

Karolinę Świetlę.

Toż to było śmiechu między ludźmi z powodu wzajemnej miłości Maćka i Baśki! Ona sięgała niemal powały, jego głowę zaledwie dojrzeć było można, gdy usiadł za stołem; ona się śmiała przez cały dzień boży, on wciąż się chmurzył; ona byłaby się rzuciła na dziesięciu naraz Prusaków, on spuszczał oczy i oblewał się rumieńcem, skoro ktoś znienacka nań spojrzał. Baśka bywała ze wszystkiego zawsze zadowolona: czy źle, czy dobrze jej się działo. W najcięższej nawet chwili szeptała tylko: »Niech tam sobie!« i zapominała natychmiast o całej sprawie, jakby ją w wodę była rzuciła; Maciek przeciwnie pamiętał wszystko nader długo i dla lada drobnostki zalewał się łzami jęcząc: »Czego za wiele, to za wiele!«

Ilekroć więc ludzie spostrzegli ich, jedno obok drugiego, tyle razy wyrażali podziw, skąd tym dwojgu zebrało się na miłość?

A zaczęło się to u nich już wtedy, gdy oboje bydło paśli. Przypędzali je na to samo pastwisko. Skoro tylko dwie kozy Maćka zaczęły skubać trawę, on sam o nic się już nie troszczył, tylko zasiadał gdzieś w cieniu pod krzakiem, wynajdywał kawałek drzewa, wyciągał kozik z kieszeni i zaczynał coś sobie dłubać.

Ale inni chłopcy nie chcieli się na to zgodzić: żądali oni, aby każdy, kto pasał razem z nimi, brał jednakowy udział w ich figlach. Gdy więc Maciek odmawiał im posłuszeństwa — co się zdarzało często — wydzierali mu kozik, ciskali go w zarośla, poczem psuli, co sobie był wystrugał. A im więcej się przy tego rodzaju zajściach chmurzył, im głośniej płakał, tem bardziej mu dokuczano, jak to bywa u takiej młodej hołoty we zwyczaju.

Skoro jednak Baśka spostrzegła zdaleka napaść chłopów, leciała piorunem do najbliższego drzewa i ułamawszy porządną gałęź, pędziła ku zbytnikom. Ci nie mieli jeszcze czasu obejrzeć się, a już wpadała im na kark i gdzie gałęź smagnęła, tam smagnęła, mało to ją obchodziło, byle tylko Maćka zostawiono w spokoju.

— Oto macie na pamiątkę, a komu zamało, niech wróci, dodam chętnie coś-niecoś, aż będzie miał dość! — wołała na chłopców, gdy z wrzaskiem rozlatywali się na cztery wiatry. Poczem sadowiła szlochającego Maćka na dawne miejsce, wtykała mu w rękę drewienko, odnajdywała zatracony kozik. Po takiej przeprawie miewał Maciek co najmniej tydzień szczęśliwego na pastwisku żywota.

Samo się przez się rozumie, że chłopcy nie puszczali Baśce płazem jej wiecznego stawania w obronie Maćka.

— Tak, tak! — wołali, gdy uspakajała pokrzywdzonego przez nich towarzysza — zamknij go jak najspieszniej do pudełka, aby go jaki ptak zamiast muchy nie połknął, lub szkapa kopytem nie zgniotła, bo inaczej musiałabyś się wyrzec wesela, a my poczęstunku.

Ale jak tylko spostrzegali, że Baśka sięga po gałęź, brali nogi za pas i zmykali, aż im się głowy trzęsły. Z własnego bowiem przekonali się byli doświadczeniu, że Baśka ma tyle siły — co ćwierć kopy takich, jak oni, i że jej nie przerobią, choćby się na to wszyscy razem uwzięli.

II.

Maciek służył u starej bezdzietnej wdowy, która nie tęga była na nogi, a na oczy też dobrze nie widziała. Co zrobił, to zrobił — i jak zrobił, tak dobrze było; w jedzeniu nie krzywdziła go również, zadowolona, że ma kogoś przy sobie, co jej krzywdy nie wyrządza. Pomimo to jednak płakał na swój los, skarżąc się, że tak źle, jak jemu, nie bywa nikomu na świecie i powtarzając swoje zwykłe: »Co za wiele, to za wiele«. Baśka służyła u najgorszego w całej okolicy wyzyskiwacza, u którego palce jej zgrabiały od ciężkiej pracy, wszystkie żyły nabrzmiały na szyji, a twarz od słońca i wiatrów tak się spaliła, że cała skóra na niej popękała. Pracowała rok okrągły za dziesięć łokci płótna na koszule, spodniczynę i parę trzewików na zimę. Zamiast zapłaty gospodarz oddawał jej napiwki, gdy sprzedał jaką sztukę bydła z obory, lub gdy przywiózł kto zboże do młyna na mliwo. A jednak; znajdywała jeszcze czem się przed ludźmi pochwalić.

— Ani jednego dnia nie zostawia mię gospodarz bez jadła — cieszyła się przed Maćkiem — a do kościoła chodzę zawsze obuta. Od czasu, jak służę u niego, sprawiłam sobie dwie chusteczki na głowę, suknię i kabatkę; mogę, gdy zechcę, porządnie ubrać się w niedzielę.

A trzeba wiedzieć, że służyła u zacnego swego gospodarza dziesiąty już rok!

Niekiedy śmieli się ludzie z uczuć tych dwojga, niekiedy zaś mawiali, — żartem naturalnie — że tak się do siebie nadają, jakby się w korcu maku dobrali. Chcieli tem dać do zrozumienia, że tak jedno, jak drugie słabe jest na umyśle.

Skoro ktoś napomknął o czemś podobnem przed Baśką, pozwalała mówić o sobie, co się komu żywnie podobało, odpowiadając tylko zwykłem swojem: »Niech tam sobie!« Ale na Maćka nikt nie śmiał w jej obecności słowa powiedzieć, bo wnet do oczu mu skakać była gotowa.

(C. d. n.).

SEN.

FANTAZJA,

przez

ADOLFA DYGASIŃSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Spostrzegłem następnie oblicza przyjaciół. Było ich mniej, niż nieprzyjaciół. Porównanie tych dwóch ilości mogłoby człowieka wbić w dumę ze względu, że dobroć ludzka po wsze czasy tylko w niewielkiej ilości ma wartość. Gdy cię szczerze nienawidzą, możesz sobie myśleć:

»Jakto, mój ciężarek na szali życia za dużo dla nich waży?...«

Ale trzeba się zaraz sromać znajomością swoją duszy ludzkiej: wszystko, co u drugich spostrzegasz, bierzesz ze swojej własnej duszy. Dusza bliźniego — jest to morze; my jednak musimy pływać po tem morzu na swoich łodziach.

Między przyjaciółmi trzeba robić różnicę, gdyż przyjaciel i nieprzyjaciel są to częstokroć tylko dwa wyrazy. Nie mogłem przecież liczyć na tego, który prócz mnie, za przyjaciela miał także fortunę. Ile razy zajrzałem w jego duszę, głoski wyrytej przyjaźni zacierały się tam coraz bardziej, im więcej fortuna brała go w swe objęcia. Gdy się ze mną spotykał i witał, oczy jego zdawały się przemawiać:

»Na kiego djabła mnie ten przyjaciel?«

Moja przyjaźń zaczynała mu ciężyć i czekał chwili sposobnej, aby mnie uronić po drodze życia.

Tamtem znów jest moim przyjacielem, ale on ma także innych przyjaciół, których przekonania mocno go krępują; czynami swemi daje to wyraźnie poznać, przemawia: »Muszę szanować opinje swoich przyjaciół!« W cztery oczy jednak często dawał mi dowody, że jest samodzielny i wcale się nie krępuje opinjami przyjaciół. Ufałbym mu w jednym razie tylko: gdyby chodziło o wyświadczenie komuś potajemnie przysługi — nigdyby tego nie zrobił. Widzę tę czarną gałkę, którą wrzuci do urny, aby mnie potępić.

Jest i inny, jeden z tych przyjaciół krytycznych, co to wszystko waży, rozumem ocenia. Ma on głowę zawsze spokojną, chłodną, umie się w porę zastanowić i uczucie trzyma na wędzidle, aby go przypadkiem zadaleko nie uniosło — tylko przypadkiem. Jego przyjaźń dla mnie jedynie w pewnych razach trzymała się swego magnetycznego pola, w miarę okoliczności słabła i schodziła na zero przyciągania.

Ów znowu — dobry człowiek; robił mi nieraz różne ustępstwa. On-by nigdy nikogo nie potępił; widziałem częstokroć, jak go trudno było skłonić do jakiegoś stanowczego pod tym względem kroku. Jego dobre serce zawsze się wzbraniało, gdy chodziło o potępienie bliźniego. Ale po co się łudzić? Jest to człowiek bardzo słabego charakteru i umysłu; waha się całe życie i nie umie postanowić — moralnie niedorobiony człowiek.

Niezbyt daleko od niego zasiadł wśród sędziów inny przyjaciel, który przebaczyłby wszystko, gdyby nie to jedno... Słyszę go jak mówi:

»Dla ludzi można być pobłażliwym; ale ja nie przebaczam nigdy tego jednego«.

Każdy wie, że on ma taką zasadę i wypełnia ją bardzo ściśle; w ciągu całego swego życia nie usprawiedliwił jeszcze nikogo, gdyż wszelkie

przewinienia ludzkie podciąga zawsze pod paragraf tego jednego przekroczenia.

Widzę jeszcze chmurną, nawet groźną fizjognomję przyjaciela. Jest on w tej chwili zły, obrażony w swojej godności. Prześladuje go widmo honoru. Żył ze mną w przyjaźni wiele lat i teraz gniewa się o to, że zbrodniarza uważał za przyjaciela... Mam stracić życie, własną krwią okupić swoje czyny; ale on dla swego ideału potrzebuje pogardy, musi na mój grób plunąć, aby dać zadosyćuczynienie swojej godności osobistej. Po mojej śmierci pogardzałby mną jeszcze bardziej, gdybym w dodatku nie umiał umrzeć z godnością... Żyć z godnością, umrzeć z godnością, jak na scenie!

Szukam oczyma jednego — i nie znajduję. Nie przyszedł, gdyż go już wczoraj potępiono...

Śmieszny jest mój bezwzględny egoizm!... Czegóż on może wymagać od przyjaciół i nieprzyjaciół? Byłem dla nich tem, czem oni dla mnie. Każdy daje tyle, ile dać może i stosownie do tego, co odbiera. Czyż mogę żądać, ażeby przyjaciele byli dla mnie? Oni przyjaciółmi moimi muszą być przedewszystkiem dla siebie — i takimi byli. Ja również nie byłem inny.

W życiowem przejściu przez ziemię człowiekowi powinno wystarczać, gdy w różnych chwilach spotykał ludzi, którzy wyrażali tu i ówdzie zgodność z jego pojęciami, uczuciami, czynami. Względność jest to miara przez ludzi wynaleziona i dla nich najodpowiedniejsza: — wszystko ludzkie jest względne.

Wyrok zapadł. Kiedy mi go odczytywano, słuchałem obojętnie, gdyż oswoiłem się z torturą swych uczuć i miałem nawet chęć skończyć to prędko, zginąć jako jednostka społeczna, a zacząć żyć czysto indywidualnie. Każdy z obecnych słuchał wyroku tego z większem, niż ja, zajęciem. Dramat taki sam odbywa się od wieków. Za żądze, za namiętności, żyjące w ludzkich piersiach, nieustannie trzeba kogoś skazywać. I nigdy inaczej nie będzie! Ile uczuć żywi rodzaj ludzki, tyle ma dla nich ideałów, a jednocześnie — tyluż Molochów. Walka bóstw dobrych z mściwemi utrzymuje słabego człowieka we środku, co nosi nazwę równowagi. »Ni faciat, maria ac terras coelumque profundum quippe ferant rapidi secum verrantque per auras«.

Broniłem się, przyjmując potępienie, aby się nie potępić przed sobą samym.

Oczekiwała mnie kara moralnej śmierci, ze wszystkich kar najstraszniejsza wtedy, gdy uczuwałem największą chęć życia... Jużem odczuł w sobie wiele prawd, pokonałem liczne przeszkody, napracowałem się własną duszą, i w tej pracy zużyłem siły. Właśnie wlazłem, jak wół roboczy, w twarde jarzmo życia i jego ciężaru już nie uczuwałem; na zbolałym karku — nie gniotło. Tak szybko upływał mi dzień po dniu w zupełnej zgodzie z losem! Ale ten oto sąd, ten wyrok pozwolił mi zajrzeć w trzewia ludzi, a uczucie boleści dodało wzrokowi siły i spostrzegłem zupełnie nowe prawdy. Teraz miałbym czem żyć obficie, miałbym czem oddziaływać, ponieważ odebrałem cios dotkliwy, uczułem wrzenie uczuć w sobie, co jedno siły życiu daje i dzielnie do działania popycha.

Komuż jest tajne, że człowiek duszę swą na szmaty szarpie, gdy istotne dzieła pracy wykonywa? Ja, który przestałem już działać szczerze, wyczerpałem zasoby duszy i jak nędzarz goniłem resztkami, ujrzałem w swem nieszczęściu nowy świat przed sobą Boleść otwarła mi oczy na nieznane przedtem prawdy, które się niezatartą literą wypiętnowały na mej duszy i dodały jej skrzydeł.

Ciężko jest zginąć w takiej chwili!

Po co żyć, gdy niema nadziei odwetu, a pozostaje tylko przykry mus przebaczenia?...

Mścić się i za co? Zemsta jest uczuciem, którem bardzo krótko żyć można. Gdybym ja był ich sędzią, czyż byłbym mniej surowy?... Kto zwycięża, mścić się musi. Jest zemsta w sprawiedliwości, jest i w zemście sprawiedliwość... Nie, ani sprawiedliwością, ani zemstą żyć nie zdołałbym!... Jedna jest za daleko od serca, druga wszystką krew z niego wysysa. Wyzuty z wielkiej rodziny — ze społeczeństwa, mam przecież rodzinę własną... Cóż tej rodzinie przyniosę?

Własny ból, choć wielki, zawsze mniej boli: czuć za siebie lżej, niż za drugich. Siła egoizmu, tak dzielna siła, załamuje się wtedy, przestaje być tarczą. Cierpienie, co ze mnie samego wyrasta, mogę sobie nakazać jako obowiązek; ale ich boleść dla mnie... Zresztą, kto się wyzbył tej wielkiej rodziny — społeczeństwa, czegoż on szuka w tem szczupłem kółku? Tam go zabiła złość, tu pewniej jeszcze zgubi go miłość. Ach! po drodze życia tylko uronić zawsze można swój sposób do życia, stracić sił zasoby!... Nic lepszego niema do zrobienia. Czuję łzy tych, którzy mnie kochają i o mało nie zawołam błagając:

»Dajcie mi nienawiść swoją, nie wyżerajcie mi szram na sercu temi łzami!«

Przed ludzką nienawiścią, niesprawiedliwością, jest zawsze jeszcze ucieczka w głąb siebie samego; ciasno i duszno w tej twierdzy, ale jej nikt zdobyć nie zdoła. Niema tylko ocalenia przed szczerem, prawdziwem uczuciem, które mnie od wewnątrz pokonywa, które wszędzie dosięga i znajdzie.

Wiem już teraz kto będzie moim katem. Ci, co mnie kochają, poprowadzą na śmierć tak że: sztylety wepchną w serce, głowę zetną, uduszą... Zabiją mnie dlatego, że wobec nich uczucie moje jest lękliwe i bezsilne. Uderzajcie, czekam na cios, pamiętny, że tylko z miłości naprawdę się umiera! Uderzajcie, nie chybicie nigdy!

Zazdroszczę w tej chwili samotnikom na pustyni życia, którzy nie mają drogich swemu

sercu katów. Śmierć zwyczajna, zakończająca wszelkie życie, jest prostem i łatwem do spełnienia prawem, działającem jak machina, skoro się życie już zużyło. Okropną jest jedynie śmierć, co cię wśród tajemnych, a strasznych cierpień łamie i powala.

Ludzie widują tylko tę zwykłą śmierć, po której się zwłoki, zimne jak kamień, do grobu wkłada; oni wtedy łzy leją, ponieważ się spełniło prawo, niepowstrzymane w swojem działaniu.

Ale gdy człowiek żywy, człowiek czujący wije się w cierpieniu, oni wówczas czekają, aby im łzami w oczach zaświecił i wyciągnął do nich rękę po okruch miłosierdzia...

Oglądam się w około — czekam na cios kata...

Spadła głowa. Zwinąłem się, skręciłem w męczarniach, drgnąłem ostatniemi cierpieniami i — rzecz dziwna — życie moje nie skonało. Istnieję jeszcze, czuję, żyję, kocham siebie samego, zwolniony od wszystkich ciężarów życia. Teraz nikt mnie nie zdoła już zabić! Czyż można zabić tego, który istotnie czuł życie w sobie? Nie zabije go ani nienawiść, ani miłość... Umilkł tylko gwar świata, zniknął jego widok, nastąpiła cisza uspokojonych boleści, pragnień dotychczasowych i pozostał wspaniały obraz wspomnień, które są wyraźniejsze, bardziej prawdziwe, aniżeli rzeczywiste zdarzenia życia. Są to przecież moje własne prawdy, a żadne słońce niebios nie zdoła mi ich tak oświetlić, jak mój egoizm.

(Dok. nast.).

Nieco o Szekspirze

z powodu nowego wydania jego dramatów

(Ciąg dalszy.)

Kraszewski, w zajmujących objaśnieniach do każdego dramatu dołączonych, wskazał genezę tego udramatyzowanego odłamu krwawych dziejów Anglji. Szekspir ujął za pióro w chwili, gdy ta nauka poglądowa historji była w modzie, a więc stanowiła rzecz poszukiwaną i popłatną. Zabrał się do niej dla chleba.

Oblekanie żywem ciałem cudzych scenarjuszów, okrzesywanie cudzej, grubej i p spolitej roboty, narzucanie farb na cudze, byle jak podmalowane obrazy, było dla wielkiego poety tem, czem jest dla przyszłego artysty-rzeźbiarza praktyka w pracowni kamieniarskiej. Na praktyce tej skorzystał. Wyrobiła mu ona siłę, dała pewność ręki i oka, oswoiła ze sceną i publicznością.

Jednak to próbowanie skrzydeł nie jest widowiskiem, któreby zwykłemu widzowi rozkosz estetyczną sprawiało. Rzadko on w niem nawet Szekspira prawdziwego, twórcę »Otella«, »Hamleta« i »Leara«, poznaje. Wykłuwający się dopiero genjusz nie wszędzie zdołał zatrzeć ślady pierwotnej, od artyzmu dalekiej roboty. Tu i ówdzie z pod bogatej draperji, rozwieszonej przez poetę, wygląda chropawe drzewo prostego, ciesielskiego rusztowania.

Przytem dramaty te, ze wszystkiego, co poeta angielski napisał, są najbardziej angielskie. Powiedziałbym też, że są one dla ogółu zanadto angielskie.

Fałsz, podstęp, okrucieństwo, krew, stryczek, trucizna, to niezawodnie pierwiastki, które ściślejsza analiza w dziejach każdego narodu odkryje; procent ich wszakże w dziejach Anglji jest zbyt wielki, aby go nerwy nie-angielskie ścierpieć mogły.

Dramaty historyczne Szekspira to nieprzerwany szereg rzezi, gromadnych i pojedyńczych morderstw, przerywanych od czasu do czasu przeraźliwym dźwiękiem trąb, zwiastujących odniesione zwycięztwo. Bohaterowie (jeśli za polityczno-kronikarskie kreacje na miano bohaterów zasłużyli) brodzą tam nieustannie we krwi. Całość przypomina jakąś potworną rzeźnię ludzką, gdzie bydłem nazywane są narody, a rzezakami królowie. I smutek ogarnia na widok poety, który wyobrażać mając sąd potomności, kładzie laury na czoła rzezaków.

A dodać trzeba jedno jeszcze: poeta ten historję fałszował. Fałszował dla celów artystycznych i dla celów politycznych. Zmieniał daty wydarzeń, przyśpieszał lub opóźniał zgony osobistości znanych, słowem obchodził się z historją, jak z powieścią, ile razy było mu to potrzebne, jako autorowi. Ale to jeszcze drobnostka. Gorzej, że żonobójcę Henryka VIII przedstawia w świetle, jeśli nie pochlebnem, to przynajmniej nijakiem dla tego tylko, że panująca wówczas była jego córką, i że z Dziewicy Orleańskiej uczynił sługę djabła i króla francuskiego nałożnicę...

Jednak wśród tych wszystkich mroków błyskają tu i ówdzie światełka, stające się nawet niekiedy pełnemi blasku ogniskami. Najczęściej zapala się genjusz poety wówczas, gdy działa na własną rękę, gdy nie przerabia i nie poprawia, lecz — tworzy.

Nie zapominajmy, że w »Henryku IV« po raz pierwszy wychyla się do nas księżycowe oblicze Falstaffa — tego niezrównanego sir Johna Falstaffa, w którego licznie rozrodzonem potomstwie i nasz Zagłoba się mieści. Zdobywa on sobie odrazu naszą sympatję, podobnie jak zdobył ją sobie odrazu u królowej Elżbiety. Podanie

mówi, że tej ostatniej zawdzięczamy »Kumoszki Windsorskie«. Królowa — dziewica tak bardzo w fizycznej i moralnej poczwarności brzuchala tego zasmakowała, że zleciła poecie, aby go »pour le bouquet« przedstawił — zakochanego.

Nie zapominajmy dalej, że w szeregu obojętnych nam Henryków i Ryszardów znajduje się Ryszard III, »król garbus«, kreacja nieśmiertelna, demonicznie piękna, czy demonicznie szpetna, z samym Lucyperem iść mogąca o lepsze.

Mniejsza, czy Ryszard III. Szekspira jest Ryszardem III. historycznym, któremu bezstronni sędziowie przeszłości przyznają »męztwo i rozum polityczny«, przy zbrodniach zaś jego piszą ostrożnie «podobno...« — poeta dał mu kształty tak gigantyczne i posągowe, a zarazem uczynił go tak głęboko i szczerze ludzkim, że o realnem życiu tej postaci wątpić nie możemy. Być może, iż żyje ona tylko w sztuce, ale czyż wielkie kreacje poetyczne nie bywają żywotniejsze od ludzi z krwi i kości?

Ryszard III. Szekspira nie jest wcale »zagadką psychiczną«, jak to dawniej lubiano powtarzać; przeciwnie, jest to fenomen psychologiczny i fizjologiczny, doskonale dający się pojąć i wytłómaczyć. I właśnie, skrupulatne liczenie się z prawdą i logiką stanowi jeden z rysów zasadniczych i postaci tej i całego dramatu.

Aby się o tem przekonać, dość porównać Ryszarda z niewątpliwie pochodzącym odeń Franciszkiem Moorem Szyllera, i dość zestawić niezrównaną scenę pomiędzy Ryszardem i Anną (przy trumnie Henryka VI) z niewątpliwie wzorowaną na niej sceną z »Czary i ust« Musset'a, gdzie Frank zamaskowany, przy trumnie, jego zwłoki kryjącej rzekomo, uwodzi Belcolovę.

Porównanie to nie wypada na korzyść poetów romantycznych. Obaj oni, przy całej swej genjalności, nie zdołali uniknąć fałszu psychicznego i przesady — dwóch błędów, od których Szekspir całkowicie jest wolny.

II.

W środkowych tomach nowego wydania zamieszczono pięć najpopularniejszych tragedji Szekspira: »Hamleta«, »Króla Lira«, »Romea i Julję«, »Otella« i »Makbeta«, oraz jego dramaty rzymskie.

Są to w świątyni ducha szekspirowskiego najpiękniejsze i najkrzepciejsze filary, na których wspiera się główna świątyni tej nawa. Chociażby wszystko inne w gruz runęło, świątynia na oparciu tem przetrwałaby wieki.

Każde z tych arcydzieł jest światem odrębnym, rządzącym się własnemi, do żadnych innych niepodobnemi prawami. W każdem panuje inna atmosfera moralna, inny nastrój dusz — inny koloryt...

Szekspir ma to do siebie, że w żadnej definicji zamknąć go całego nie można. Rozsadza on je wszystkie, jak ów dąb w wazonie zasadzony, do którego przyrównał niegdyś Goethe duszę Hamleta.

Dla Taine'a jest on samą wyobraźnią — gorącą, szaloną, rozhukaną wyobraźnią, którą zbudziło zaszczepione na gruncie angielskiej sztuki i angielskiego społeczeństwa Odrodzenie...

Ale dość wspomnieć takie kreacje czyste, ciche i pogodne, jak Ofelja, jak Desdemona, jak Imogena, aby stwierdzić, że w genjuszu Szekspira było coś więcej nad rozhukane »zwierzę ludzkie«.

Schlegel, na przeciwnym stojąc biegunie, radby widzieć w Szekspirze samą refleksję, samą myśl filozoficzną, kształtami plastycznemi wyrażoną...

Ale krewkość, zrywająca tu i ówdzie wędzidła wszelkiego systematu, zamieszanie końcowe niektórych dramatów, nie wiodące do żadnej filozoficznej syntezy — i temu przeczy najzupełniej.

Dla Krasińskiego »Stary Will« — to tylko anatom... Ale preparaty anatomiczne są martwe, każdy zaś ze światów, stworzonych przez Szekspira, jest pełen ruchu i gwaru — gwaru tak potężnego, że z oddalenia trzech stuleci wyraźnie go słychać.

Goethe nie błądzi, gdy przyrównywa kreacje poety angielskiego do zegarów o szklannych ścianach — ale w tem porównaniu odmalowana jest tylko łupina szekspirowskiego ducha.

Może najbliższym prawdy jest Wiktor Hugo, gdy zamiast jednej definicji, podaje długi ich szereg, zestawiając przemienny i wieloobrazowy genjusz poety z przemiennym i wieloobrazowym — oceanem.

Wiktor Gomulicki.

(Dok. nast.)



PRO MEMORIA.

14. listopada 1833. Zginął na szubienicy Artur Czarny Zawisza, który — jak mowi o nim jeden ze współczesnych — „pierwszy ze szlachty biegł ginąć na czele wolnego chłopa". Zawisza, ukończywszy uniwersytet warszawski, służył powstaniu 1831 orężem i piórem. W marcu 1833 r pośpieszył on z zagranicy w Płockie, zgromadził garść tęgich Mazurów i trzymał się z nimi w ciemnych borach. Po paru miesiącach takiej partyzantki, otoczony przez wojsko rosyjskie, straciwszy w sześciugodzinnym boju wszystkich niemal towarzyszy, dostał się ranny do niewoli. Na śmierć szedł wyniośle i odważnie, a ostatniemi jego słowy było: „Gdybym miał sto lat żyć, wszystkie bym ofiarował ojczyźnie".

17. listopada 1794. Kościuszko odstawiony został, jako jeniec, do Petersburga.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.